

Warszawa, lipiec 2012

AGATA **DIDUSZKO-ZYGLEWSKA**

JOANNA **ERBEL**

ŁUKASZ **JURCZYSZYN**

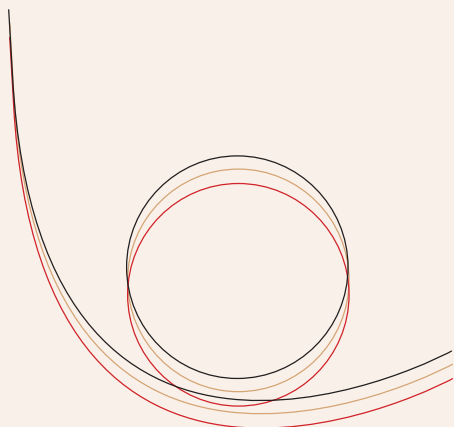
BARBARA **LEWENSTEIN**

WOJCIECH **PRZYBYLSKI**

DEMOKRATYZACJA MIASTA I

Ostatnio coraz więcej dyskutuje się o współczesnym mieście, o jego funkcjach i relacjach między władzą a mieszkańcami. Kolejne inicjatywy i akcje społeczne dotyczące miasta w jego różnych wymiarach, a także spory i protesty – zaczynające się od lokatorów mieszkań komunalnych, a sięgające do przedstawicieli środowisk artystycznych – pokazują, że przynajmniej dla części mieszkańców miasto stało się ważną kwestią. Oni wszyscy chcą wpływać na jego kształt, na planowanie przestrzenne, politykę społeczną i kulturalną. Na to, jak wyglądają ulice i jak są wydawane pieniądze pozostające w gestii samorządu.

Mieszkańcy chcą większej demokratyzacji miasta. Jednak co kryje się za tym hasłem? Czy nasze miasta nie są demokratyczne? Przecież raz na cztery lata udajemy się do urn wyborczych, aby wybrać naszych przedstawicieli. A jeżeli jest problem z demokratycznością miast, to co można i należy w nich zmienić oraz w jaki sposób tego dokonać? Wreszcie: czy władze samorządowe, ale też sami mieszkańcy są gotowi na wprowadzenie takich zmian? To zaledwie kilka pytań, jakie postawiliśmy osobom, które nie tylko przyglądają się funkcjonowaniu współczesnych miast, ale też często biorą udział w ich zmienianiu.



Ruchy obywatelskie przeciw ruchom pozornym

W ostatnich miesiącach gołym okiem widać w Warszawie narastanie rozdźwięku w rozumieniu demokracji między władzami i mieszkańcami. Według sprawujących władzę obywatele raz na cztery lata mają prawo wybrać osoby, które następnie w ich imieniu, ale całkowicie według własnego uznania, będą zarządzały miastem i jego budżetem. Mieszkańcy, jeżeli coś im nie odpowiada, mogą mieć pretensje tylko do siebie – przecież sami wybrali swoich przedstawicieli. A najbliższa możliwość skorygowania tego, co się dzieje, to kolejne wybory.

Natomiast mieszkańcy coraz głośniejszy i liczniejszy dają wyraz temu, że dla nich demokracja oznacza o wiele więcej niż możliwość wrzucenia kartki do urny wyborczej. Czują się współgospodarzami miasta, rozumieją, że jego budżet tworzy się z ich podatków, a zatem nie ma powodu, żeby ktoś wydawał te pieniądze bez konsultacji z nimi. Rozumieją, że przestrzeń publiczna to przestrzeń wspólna, z której mają prawo korzystać i o której mają prawo współdecydować; i że skoro składają się na finansowanie publicznych żłobków, przedszkoli, szkół i transportu, to dostęp do tych nieluksusowych dóbr nie powinien być ograniczany podwyższaniem cen biletów i opłat. Władze miasta w odpowiedzi stwierdzają, że podwyżki są konieczne, bo kryzys i inwestycje... – jednak większość z nas zapewne wolałaby tańsze bilety komunikacji miejskiej od stadionu Legii, multimedialnej fontanny czy „strefy kibica”.

Mieszkańcy miasta rozumieją, że prawdziwa demokracja polega na ciągłym dialogu tych, którzy administrują wspólnym dobrem, z tymi, którzy ich do tego upoważnili. Władze miasta nie chcą przyjąć skromnej roli administratorów, lepiej czują się w skórze udzielnych władców, którzy wszystko wiedzą lepiej, a żeby zadowolić burzący się lud, są skłonni nawet zorganizować igrzyska. Jednak ludzie upierają się, że wolą chleb – i aby ich życzenia były lepiej słyszalne, organizują się w ruchy miejskie.

Ludzie kultury, lokatorzy, rowerzyści, „skłotersi”, rodzice, kucharki i inni – ta różnorodność protestujących środowisk powinna być znakiem ostrzegawczym dla sprawujących władzę, bo oznacza szwankowanie całego mechanizmu. I nie wystarczy organizowanie kolejnych spotkań, konsultacji czy wykorzystywanie wiedzy ekspertów do tworzenia kolejnych nowoczesnych programów, które potem lądują w szufladach (jak to się ostatnio stało z warszawskim Programem Rozwoju Kultury), bo obywatele już dostrzegli, że w większości są to ruchy pozorne – ustalenia wypracowane podczas rozmów i konsultacji nie są respektowane, a nowatorskie rozwiązania z programów, które umożliwiają prawdziwą partycypację, nie są wprowadzane w życie. Jeżeli obecnie rządząca ekipa nie zmieni tej taktyki, to nieodwołalnie straci poparcie wyborców. Zyska je ten, kto na serio posłucha głosu mieszkańców. Ich życzenia to nie są żadne fanaberie – to całkiem pragmatyczne życzenia, które dotyczą po prostu dobrego życia w mieście na co dzień.

Kibicuję ruchom miejskim w ich drodze do polityczności, do zmiany jakości polityki. Demokracja się zmienia. Wiele się o tym mówi, ale już mniej działa. Wyjątkiem jest zapowiedź nowej siły politycznej wymykającej się z obecnego systemu reprezentacji, to znaczy ruchów miejskich. Jeśli istnieje nadzieja na zmianę, to tkwi ona właśnie w autentyczności i pracy owych ruchów.

Pojawiają się natomiast pytania i zastrzeżenia krytyczne. Jest ich wiele i to ważnych. Trzeba je sobie zadać, zanim nadzieja i euforia zostaną zrealizowane. Nieraz byliśmy świadkami tego, jak zawiedziony idealizm pokazywał janusowe oblicze politycznego cynizmu. Jakie kwestie krytyczne uważam za ważne do przemyślenia?

1. Problem definicyjny

Kto może udzielić jasnej i przekonującej odpowiedzi na pytanie: co to są ruchy miejskie i kto się na tym zna? Mówimy oczywiście o nich w kontekście ruchów społecznych, a te były towarzyszami nowoczesnych demokracji od ich zarania. Ich pierwszy zryw wręcz ukuł demokrację. Były wśród nich ruchy narodowe, klasowe – definiujące podział sceny ideowej przez cały XX wiek – ale były też tak zwane nowe ruchy społeczne, ruchy protestu, które będąc za czymś, były tak naprawdę przeciwko (ekolodzy – przeciw drapieżnej industrializacji, homoseksualiści i mniejszości etnicznej – przeciwko dyskryminacji itp.).

Do której kategorii należą ruchy miejskie? Trudno powiedzieć, bo wyróżnia je lokalność – partykularny charakter sprawy – a zarazem łączy wielopoziomowy, ogólnopolski, jeśli nie światowy nurt idei krytykujących obecną formę demokracji. Demokracja w czasie i wraz z postępem technologicznym zestarzała się i skostniała, a w społeczeństwie pierwsze o tym krzyczą ruchy miejskie, ramię w ramię z działaniami OWS (*Occupy Wall Street*) i ruchem 15 maja.

2. Miasto jako polityka czy anty-polityka

Krytycy ruchów miejskich łatwo zauważą, że mają one problem z własną politycznością. Ruchy chcą być polityczne poprzez swoją anty-polityczność, chcą być siłą bezsilnych stojącą u progu nowej fali demokracji. Dlaczego wobec tego wybierają miasto, które ma ten dylemat samo ze sobą? Czy miasto jest polityczne, czy właśnie anty-polityczne? Przecież każde miasto, z bogatą tradycją, kulturą, w tym kulturą polityczną – czyli wypracowanym w czasie modelem podejmowania decyzji (bardziej lub mniej partycypacyjnym, bardziej lub mniej biznesowym itd.) – jest w swojej polityczności inne.

Tym, co je wyróżnia, jest oczywiście autonomia finansowa i decyzyjna, którą daje miastu ogólnopolski system prawny. A to stwarza polityczność miasta. Społeczeństwo nie lubi próżni, nie toleruje anarchii i na jakiś model sprawowania rządów musi się zdecydować. W większości wyborcy akceptują model określony przez parlament, czyli prezydencki. Ruchy twierdzą, że to tylko dlatego, że nie było dyskusji o innym. Ten inny, którego doświadczyć nie sposób, to właśnie anty-polityka. A anty-polityka w dzisiejszym świecie może iść po władzę i zdobyć nawet 7% głosów wyborców – jak Ruch Palikota albo partia Polityka Może Być Inna na Węgrzech.

3. Wyzwanie autentyczności

Czy ruchy miejskie są wobec tego trampoliną do władzy? Ludzie na przestrzeni wieków skóry nie zmienili i stosunki władzy oraz nadużyć u starożytnych są tak samo aktualne współcześnie. Prezydenci miast, począwszy od Lecha Kaczyńskiego, używają miasta jako trampoliny do kariery ogólnopolskiej. Ruch Polska XXI firmowany przez Rafała Dutkiewicza i Kazimierza Ujazdowskiego mimo swych nieszczęsnych losów upominał się jednak o kwestię autentyczności. Wielu politykom miasto zapewnia zresztą łechcącą ambicje maskaradę. Sam termin „prezydent miasta” zakrawa na śmieszność, bo burmistrz Poznania – pan Grobelny, burmistrz Gdyni – pan Szczurek, a także nadburmistrz Warszawy – pani Gronkiewicz-Waltz nie są prezydentami w tym sensie, co prezydent RP. Natomiast symbolika ta ma swoje konsekwencje, bo karmi polityczne *ego*.

Miasto nie chce, aby skakano po jego plecach. Chce, by politycy byli autentyczni, niemal wyrosli i wykarmieni na *heimacie* miejskiej tkanki. Czy ruchy miejskie, budując globalne poruszenie, są tego świadome? Czy są gotowe iść po mieście jak po trupie dalej, ku polityce krajowej, bo o to naprawdę chodzi? Wierzę, że nie, ale nie jest to pewne. W dodatku cieszyłbym się, gdyby politykę krajową tworzyli ludzie równie zaangażowani i pełni wiary w postęp. Jednak czy wystarczy im autokrytycyzmu, by nie wyrzucić wszystkiego do góry nogami, łącznie z tym, co obecnie słuszne i dobre?

4. Wyzwanie strukturalne

Ciemną stroną wołania o polityczność ruchów miejskich jest pożegnanie się ze społeczeństwem. Wielu bardów lewicy pieje o polityczności wszystkiego. Gdzie mają się zatem podziąć NGO-sy, społeczeństwo obywatelskie, media – kontrolerzy i hamulce władzy oraz matecznik prawdziwej obywatelskości?

W celu wyłuszczenia problemu ponownie posłużę się przykładem środkowoeuropejskim, który w przypadku czterech państw Grupy Wyszehradzkiej działa niczym zwierciadło. Rząd Ivety Radičovej był właśnie rządem społeczeństwa obywatelskiego. Złośliwi twierdzili nawet, że społeczeństwo obywatelskie na Słowacji zostało wówczas wessane do struktur władzy i nie było już prawdziwych NGO-sów. Kiedy rząd upadł, pojawił się dylemat – czy ktoś ma jeszcze prawo używać literki N?

Miejscy aktywiści nie zawsze chcą i potrafią myśleć w logice władzy. To ich zaleta. Z miejsca, z którego krzyczą na burmistrzów, nikt inny tego lepiej nie zrobi. Co się stanie, jeśli upolitycznią swój krzyk? Miejsce zostanie puste czy pojawią się nowi i tylko role się odwrócą?

5. Miasto jako wychowanie

Ostatnie trzy punkty mogą się wydawać zbyt abstrakcyjne. Uważam jednak, że to sprawy fundamentalne, ale z racji ograniczonego miejsca mogę tylko zaznaczyć zakres problemu.

Miasto jest polem wychowawczym. Wychowuje do demokracji. Jaka ta demokracja jest lokalnie, taka będzie również w państwie i w Europie. Oczywiście działa to i w drugą stronę, ale spór o kolejność w tym wypadku toczy się tylko między jajem a kurą.

Miasto wychowuje na różne sposoby. Po pierwsze – poprzez praktykę codzienności. Wychowuje tym, w jaki sposób podejmowane są decyzje – czy zapadają przy milczącym sprzeciwie mieszkańców, czy raczej są wykuwane w publicznym sporze. Obywatele wzrastają w takiej demokracji miejskiej, przyswajają sobie jej praktyki, nawet ich nie nazywając.

Drugim obszarem wychowania jest słowo. Powstaje właśnie całe grono gadających głów „od miasta”, które mówi, jak mają wyglądać partycypacja, mieszczaństwo, udział, autentyczność. Nauczają i wykładają, a także piszą o tym, jak ma być, modelując nasze wyobrażenia o demokracji miejskiej. Tak jak kiedyś Jerzy Szacki porządkował myślenie o tym, czym jest społeczeństwo obywatelskie, tak obecnie Artur Celiński, Martyna Obarska, Xawery Stańczyk, Kacper Pobłocki, Joanna Kusiak, Lech Mergler, Krzysztof Nawratek, Joanna Erbel, Paweł Kubicki, grupy obywatelskie, takie jak SISKOM, Forum Rozwoju Warszawy, Grupa M20, a także wielu innych tworzą ową poetykę współczesnej miejskości.

W końcu miasto wychowuje do demokratycznego systemu, jego zasad i oczywistości. Stąd kwestie takie jak kadencyjność władz – dla mnie sprawa pierwszoplanowa i niezagospodarowana przez ruchy – są ważniejsze i uczciwsze niż postulaty, by można było odwoływać władze miasta mniejszą liczbą głosów, niż te władze były wybierane. Zarówno działanie systemu, jak i dyskusja o jego zmianie mają ogromne znaczenie, bo przypominają wszystkim o tym, na czym polega demokratyczna samorządność na najbliższym nam poziomie.

Wobec tego powstaje pytanie: czy wiemy, ku czemu zmierzamy? Czy wiemy, jak demokracja lokalna ma się przełożyć na demokrację w ogóle?

6. Interesy i moralność

Miasto to gra interesów, ale i gra o moralność. Politycy miejscy reprezentują mozaikę interesów miasta, ale niektórzy działacze ruchów miejskich twierdzą, że nie są one w pełni reprezentowane. Inni, że reprezentują je źle lub fałszywie.

Władze każdego miasta prowadzą swojego rodzaju politykę zagraniczną, negocjują z dużym biznesem, decydują o wielomilionowych inwestycjach i długoterminowych strategiach mających wpływ na wszystko: od koniunktury gospodarczej po jakość edukacji. Czy ten realny świat może być czysty i reprezentować wszystkie interesy? Czy wchodząc do niego, trzeba zostawić moralność za drzwiami? Ruchy uważają, że można być przyzwoitym i skutecznym politykiem zarazem. Życie wielokrotnie podaje takie przekonania w wątpliwość, ale trzeba w tej wierze wytrwać, bo inaczej – jak ma być lepiej?

7. Rząd albo zarząd

Istnieją dwie koncepcje miasta, z których wyływa metoda jego organizacji. To rządzenie i zarządzanie. Jak pisał na łamach „Res Publici Nowej” Piotr Ciszewski, „ruchy miejskie to demokratyczna opozycja wobec koncepcji miasta rządzonego przez wszystkowiedzących polityków i menadżerów, którym nie chce się już zachowywać nawet pozorów konsultacji publicznych oraz partycypacji społecznej”¹. Ta kwestia, którą zostawiam na koniec, jako pytanie otwarte, nurtuje mnie najbardziej. Czego trzeba, aby miasta były rządzone, a nie zarządza-

¹ Piotr Ciszewski, *Ruchy miejskie to fronty miejskie*, <http://publica.pl/teksty/ruchy-miejskie-to-fronty-miejskie>.

debaty»

ne? Jak sprawić, aby uwzględniając wszystkie powyższe punkty, miasto było bardziej republiką – jak było nią wielokrotnie w przeszłości – a mniej osiedlem zamkniętym z prawem bezpłatnego przebywania na ulicy?

Nie zadowala mnie twierdzenie, że ruchy „stały się alternatywnym źródłem opinii o tym, czego chcą mieszkańcy polskich miast”, jak pisał Artur Celiński². Chciałbym, aby na wyzwania dla współczesnej demokracji odpowiedzią było coś więcej, ale czy stać na to ruchy miejskie? Nie jestem tego pewny. Gdy widzę NGO-sowe akcje, instalacje i kongresy, z których płyną odezwy zamiast zorganizowanej, dobrze finansowanej współpracy w celu przygotowania otwartego projektu politycznego, mam wątpliwości.

² Artur Celiński, *(Nie)prawdziwy ruch miejskich aktywistów?*, <http://publica.pl/teksty/nieprawdziwy-ruch-miejskich-aktywistow>.

Odpowiedź na pytanie, czy nasze miasta są demokratyczne, czy nie, zależy w dużym stopniu od tego, w jaki sposób rozumiemy pojęcie demokracji. Jeśli zakładamy, że urząd demokratyczny polega na udziale raz na cztery lata w głosowaniu, co daje nam możliwość wyboru kandydatów, to można twierdzić, że nasze miasta są zarządzane w sposób demokratyczny. Jednak jeśli demokrację miejską rozumiemy jako prawo do posiadania realnego wpływu na swoje otoczenie i oceniania władz miasta częściej niż w cyklu czteroletnim, to mamy jeszcze dużo do zrobienia. Wprawdzie coraz częściej administracja miejska sięga po różne metody włączania mieszkank i mieszkańców w proces decyzyjny – np. różne formy konsultacji społecznych, sondaże deliberacyjne, wystuchania publiczne – jednak wciąż głos mieszkank i mieszkańców nie jest decydujący.

Bardzo często zdarza się, że władze miasta są skłonne przychylić się do wyniku konsultacji społecznych w sprawach mniejszej wagi, takich jak zagospodarowanie skweru czy program domu kultury, ale odmawiają prawa do współdecydowania, kiedy podejmowane są znacznie poważniejsze decyzje związane z wydatkami budżetowymi. Szczególnie drastycznymi przykładami ignorowania głosu mieszkank i mieszkańców były – podaję wyłącznie przykłady z Warszawy – odmowy debaty przy okazji prywatyzacji Stołecznego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej, podwyżki cen biletów komunikacji miejskiej, ustalania zasad finansowania Euro 2012, likwidacji stołówek szkolnych czy Ośrodków Pomocy Społecznej lub decyzji dotyczących polityki mieszkaniowej. Te tematy nie są konsultowane, a co więcej, w większości przypadków władze miasta ignorują oddolne inicjatywy powołane do tego, aby zabrać głos w danej sprawie.

Niechęć do włączania mieszkank i mieszkańców w podejmowanie kluczowych decyzji dotyczących codziennego funkcjonowania miasta pokazuje, że władze miasta wciąż z oporami dzielą się władzą. Jednak można mieć nadzieję, że z czasem będzie zwiększał się udział mieszkank i mieszkańców w rządzeniu miastem. Pierwszymi oznakami są: coraz większa otwartość na wprowadzanie elementów budżetu partycypacyjnego (1% w Sopocie i Gdańsku-Wrzeszczu, od 2014 roku w Łodzi), wprowadzanie ciał pośredniczących, takich jak Komisje Dialogu Społecznego, czy inicjowanie przez stronę społeczną pracy nad Okrągłymi Stołami Mieszkaniowymi. Jednak aby pojawienie się tych ciał pośredniczących przyczyniło się do demokratyzacji miast, konieczne jest, aby wypracowane w ich ramach (wspólnie z władzami miasta) rozwiązania były wiążące. Samo pytanie mieszkank i mieszkańców o opinie, a następnie podejmowanie decyzji często odbiegających od rozwiązania wypracowanego wraz ze stroną społeczną prowadzi do spadku zaufania publicznego, a co za tym idzie – wywołuje niechęć do poświęcania czasu na udział w różnych formach konsultacji społecznych. Aby móc mówić o demokratyczności miasta, konieczne jest poważne traktowanie strony społecznej.

Wprowadzanie budżetu obywatelskiego, zwanego również budżetem partycypacyjnym, zdaje się być jedną z najlepszych metod demokratyzacji sposobu zarządzania miastem. Jeszcze kilka lat temu idea takiego budżetu była mrzonką kojarzoną z odległym Porto Alegre, o którym pisał Rafał Górski w swojej książce *Bez państwa. Demokracja uczestnicząca w działaniu* (2007). Jednak z czasem okazało się, że nie tylko elementy budżetu partycypacyjnego mogą pojawić się w jakimś



mieście, ale również idea współdecydowania o budżecie może zacząć rozprzestrzeniać się na inne miasta.

Pierwszym tego przykładem był Sopot. W 2011 roku tamtejsza grupa aktywistek i aktywistów postanowiła wprowadzić elementy budżetu partycypacyjnego. W maju 2011 roku Rada Miasta Sopot przyjęła rezolucję, wedle której mieszkańcy i mieszkanki mieli w bezpośredni sposób decydować o wydawaniu 3 mln zł z budżetu miasta, a następnie prezydent zaproponował zwiększenie tej kwoty do 4 mln¹. Dzięki tej decyzji mieszkańcy i mieszkanki mogli decydować o 1% budżetu miasta. Można uznać, że jest to dosyć skromna kwota, ale miała ona na celu oswojenie się z możliwością wspólnego dyskusowania o sposobie wydatkowania pieniędzy. Do uchwalenia 1% budżetu obywatelskiego nie była konieczna zmiana prawa. Wykorzystane zostały obecne możliwości prawne. Dlatego też, jak podkreśla Marcin Gerwin, jeden z inicjatorów wprowadzenia budżetu partycypacyjnego, „na początek trzeba ustalić w jaki sposób zostaną opracowane zasady działania budżetu w [danej] miejscowości. W Sopocie została w tym celu powołana komisja doraźna ds. budżetu obywatelskiego. Oprócz tego odbywały się nieformalne rozmowy mieszkańców z radnymi”². W rozmowach brał udział również prezydent. W pierwszym głosowaniu oddano 2410 ważnych głosów (na 37 tys. mieszkańców Sopotu). Najwięcej głosów oddano na projekt ustawienia w Sopocie 20 dodatkowych zestawów do segregacji odpadów (60 tys. zł). Na drugim miejscu znalazły się dofinansowanie i modernizacja schroniska dla zwierząt (400 tys. zł). Wynik rozmów nie był wiążący i musiał zostać zatwierdzony przez prezydenta miasta. Jednak bliska współpraca z radnymi sprawiła, że w przypadku niewpisania do budżetu na rok 2012 propozycji wybranych przez mieszkanki i mieszkańców Sopotu radni by go nie zatwierdzili.

Można powiedzieć, że operowanie zaledwie 1% budżetu to bardzo niewiele, ale odpierając ten zarzut, Gerwin tłumaczy, że dzięki pracy nad 4 mln zł „[w]śród mieszkańców Sopotu pojawiło się poczucie, że mamy realny wpływ na sprawy miasta, że o ustawieniu tych pojemników do recyklingu zadecydowaliśmy my sami. Również wśród niektórych radnych zaszła zmiana (...). Radni nie postrzegali już swojej roli jako «rządzimy mieszkańcami», lecz jako **reprezentujemy mieszkańców**”³.

Poza Sopotem elementy budżetu obywatelskiego – również w wysokości 1% – przyjął w 2012 roku Gdańsk-Wrzeszcz. W 2014 roku ma zostać wprowadzony w Łodzi (do dyspozycji byłoby 20 mln zł), przy czym ma być poprzedzony roczną kampanią informacyjną. Wcześniej w Łodzi budżet partycypacyjny był realizowany na poziomie rad osiedli w ramach projektu „Głos Łodzian”⁴.

Można by twierdzić, że praca na 1% procencie budżetu nie przekłada się na politykę całego miasta, gdyby nie to, że doszło do popularyzacji idei budżetu partycypacyjnego i również mieszkańcy oraz mieszkanki innych miast zaczęli liczyć miejskie wydatki. Szczególnie intensywne liczenie zaczęło się w Poznaniu i Warszawie, kiedy władze miasta ze względu na deficyt budżetowy zaczęły zamykać żłobki i likwidować stołówki szkolne. W Warszawie kolektyw Syrena zorganizował akcję plakatową „Matematyka budżetowa”, uświadamiając mieszkańców i mieszkanki Warszawy, że noc sylwestrowa kosztowała budżet miasta **3,6 mln zł** – tyle co roczne obiady dla 4000 dzieci. Na staromiejski Park Fontann wydano w tym roku **11,6 mln zł**. „Strefa kibica” pod PKiN pochłonie **27 mln zł** w 23 dni. Koszt budowy stadionu Legii to

¹ Marcin Gerwin, *Sopot ma budżet obywatelski*, „Krytyka Polityczna”, 23.11.2012, <http://www.krytykapolityczna.pl/Serwissamorzadowy/GerwinSoptomabudzetobywatelski/menuid-403.html> [data dostępu 20.05.2012].

² Marcin Gerwin, Maja Grabkowska, *Budżet obywatelski*, w: *Partycypacja. Przewodnik Krytyki Politycznej*, red. Joanna Erbel i Przemysław Sadura, Warszawa 2012, s. 103.

³ Marcin Gerwin, *Sopot ma budżet obywatelski...*, op.cit.

⁴ Łukasz Prykowski, „Głos Łodzian się liczy” – czyli doświadczenia z budżetem obywatelskim w radach osiedli, Łódź 2012.

500 mln zł. Wszystkie dane zostały zdobyte dzięki zbiorowej pracy rodziców dzieci ze szkół, w których likwidowano stołówki, oraz członkiń i członków kolektywu Syrena.

Zwiększenie uwagi poświęcanej budżetom i coraz częstszym cięciom pokazuje, że mieszkanki i mieszkańcy polskich miast nie chcą być więcej biernymi odbiorcami przestrzeni miejskiej, ale pragną ją tworzyć na bardzo podstawowym poziomie, jakim jest decydowanie o wydatkach budżetowych. Popularyzacja myślenia o wprowadzaniu elementów (albo i pełnego) budżetu obywatelskiego jest krokiem przelomowym, bowiem wykracza poza myślenie oparte za założeniu, że powinniśmy myśleć globalnie i działać lokalnie, czyli na małą skalę. Można mieć nadzieję, że z czasem elementy budżetów partycypacyjnych zaczną się pojawiać w coraz większej liczbie miast, a wraz z tym będzie rósł apetyt na wdrażanie różnych form miejskiej demokracji uczestniczącej.



Zanim odpowie się na pytanie, czy nasze miasta są demokratyczne, należałoby najpierw zastanowić się, co jest istotą demokracji w wydaniu samorządu miejskiego. Otóż jeśli określa ją obowiązujący system demokracji przedstawicielskiej, polegający na wybieraniu w procesie wyborczym reprezentantów, którzy w imieniu mieszkańców zarządzają miastem, to wówczas nasza uwaga powinna się koncentrować przede wszystkim na stopniu otwartości systemu wyborczego, a więc na tym, na ile stwarza on szanse uczestniczenia w nim nie tylko dużym partiom politycznym, ale również mniejszym ugrupowaniom obywatelskim posiadającym mandat mieszkańców. W tym zakresie ordynacja wyborcza faworyzuje duże ugrupowania partyjne, a szczegółowe regulacje związane z prowadzeniem kampanii wyborczej dodatkowo wzmacniają pozycję rządzących ugrupowań politycznych.

W takim wypadku ważne stają się dla nas sposoby funkcjonowania tych reprezentantów w społecznościach lokalnych między wyborami, czyli formy kontaktowania się z mieszkańcami w celu zbierania opinii i potrzeb, które powinny być uwzględnione w procesie politycznym i administracyjnym samorządu miejskiego. Ten ostatni aspekt funkcjonowania demokracji miejskiej nabiera szczególnego znaczenia wobec zmieniającego się w ostatnich latach kontekstu społecznego. Następuje bowiem znaczne różnicowanie się interesów miejskich wraz z rosnącą możliwością ich artykulacji i grupowania wokół nich zwolenników, co staje się realne dzięki nowym środkom masowego przekazu i komunikacji, w tym przede wszystkim dzięki internetowi. Jednym słowem, aby demokracja miejska była rzeczywiście demokratyczna – w rozumieniu sprawnego systemu transmisji interesów miejskich do procesu politycznego i administracyjnego – musi być uzupełniana o formy demokracji deliberacyjnej, której istotą jest poszerzona debata publiczna, włączająca różne grupy mieszkańców do dyskusji na temat tworzenia polityki miejskiej. Taki system uzupełniania demokracji wydaje się lepszym rozwiązaniem niż organizowanie się lokalnych społeczności do uczestnictwa w procesie wyborczym.

Zatem w obecnej chwili wyzwaniem dla demokratyzacji miasta będzie przede wszystkim uruchomienie stałych, a nie okazjonalnych form dialogu mieszkańców z administracją samorządową, których istotą musi być dążenie do wypracowania społecznie akceptowanych rozwiązań narastających problemów społecznych, a także wspólnej wizji rozwoju miasta. W przeciwnym razie możemy spodziewać się wzrostu napięć i protestów społecznych, uruchamianych przez upodmiotowione grupy obywatelskie i ruchy miejskie aspirujące do udziału w podejmowaniu decyzji na temat ważnych kwestii miejskich. Wzrost tego typu aktywności jest powszechnie obserwowany w Polsce, gdzie zjawisko to nastąpiło z pewnym opóźnieniem w stosunku do krajów o dłuższej tradycji demokratycznej, np. Stanów Zjednoczonych, gdzie już w latach dwudziestych ubiegłego stulecia mówiło się o narastaniu ruchów miejskiego protestu. Tam jednak od razu uruchomiono mechanizmy pozwalające na większą partycypację mieszkańców w zarządzaniu miastami, decentralizując w niektórych z nich struktury samorządu terytorialnego do poziomu osiedli i sąsiedztw¹. W Polsce, pomimo coraz liczniejszych przykładów wzrastającego zainteresowania mieszkańców udziałem w tworzeniu polityki miejskiej, w większości miast władze samorządowe wciąż kurczowo trzymają się starego paradygmatu demokratycznego, w którym to jedynie wybrane w toku

¹ Roland Leslie Warren, *Perspectives on the American Community, Chicago 1973.*

prawomocnego procesu wyborczego przedstawicielstwo określa dla niej priorytety. Rządzący nie rozumieją, że deliberacja ma w istocie pomóc władzy i administracji w lepszym zarządzaniu, co w obecnym kontekście kulturowym i cywilizacyjnym wymaga posiadania przez urzędników podejmujących decyzje przede wszystkim dobrej diagnozy problemów, w czym mogą pomóc im mieszkańcy. W tym zakresie działania prowadzone przez Centrum Komunikacji Społecznej (CKS) w Warszawie stawiają to miasto w czołówce tych, które wprowadziły systemowo elementy demokracji deliberacyjnej i komunikacji do procesu sprawowania władzy poprzez mechanizm konsultacji społecznych.

Z deliberacją miejską jest jednak pewien problem, na który chciałabym zwrócić uwagę. Zasadniczą trudnością prowadzenia dialogu obywatelskiego czy społecznego (dla określenia zorganizowanych procesów komunikacji między władzą a mieszkańcami wolę używać pojęcia „dialog obywatelski”, jako że działania z nim związane noszą znamiona działań obywatelskich) jest ustalenie właściwej reprezentacji strony obywatelskiej, czyli przedstawicielstwa grup społecznych biorących udział w tym dialogu. Jeśli przyjmujemy, że dialog z mieszkańcami ma prowadzić do wdrożenia podjętych ustaleń, a tylko wtedy ma on sens poszerzania demokracji, to wówczas powstaje ważne pytanie: kto reprezentuje partnera społecznego i jaką legitymację demokratyczną posiadają aktorzy obywatelscy? Trudno tutaj o jednego aktora mówiącego w imieniu mieszkańców. Na ogół w jednej sprawie istnieje wiele, niekiedy sprzecznych, punktów widzenia, które niekoniecznie ujawniają się w toku prowadzonych działań komunikacyjnych. Dla zachowania demokratyczności tego procesu ważne staje się – zwłaszcza w zinstytucjonalizowanych formach dialogu, jakimi są konsultacje społeczne – zapewnienie jak najszerszego spektrum opinii reprezentowanych przez różne środowiska, często stojące w opozycji do siebie, jeśli chodzi o pomysły na rozwiązania konkretnych problemów społecznych objętych debatą.

W obecnych ruchach miejskich często obserwujemy, że pewne grupy uzurpują sobie prawo do reprezentowania wizji mieszkańców jako całości. Zwykle pada wtedy hasło, że my działamy w interesie publicznym czy na rzecz dobra wspólnego, np. gdy grupa obywatelska protestuje przeciwko usytuowaniu jakiegoś lokalu gastronomicznego, ale też wtedy, gdy działa konstruktywnie, chociażby domagając się reformy systemu żłobków, co pociąga za sobą zwiększenie nakładów na ich budowę, gdy tymczasem brakuje pieniędzy na budowę szkół. Po wnikliwej diagnozie może się okazać, że zwolenników wydania pieniędzy na budowę szkół jest tyle samo, co zwolenników inwestowania w żłobki, a oprotestowany lokal ma tyłuż zwolenników, co przeciwników, tyle że przeciwnicy są na ogół „głośni” i ich słychać w debacie publicznej, podczas gdy zwolennicy należą do grupy „milczących”. Dla władz lokalnych problemem pozostaje pytanie, które rozumienie dobra wspólnego wybrać spośród istniejących?

Określenie w polityce miejskiej, zwłaszcza dużych aglomeracji, co leży w interesie publicznym, jest zatem bardzo trudne. Jeszcze trudniej jest podejmować władzy decyzje finansowe w sytuacji, gdy „kołdra jest krótka”, i jeśli kierunku decyzji nie wyznacza arbitralnie „ideologia” rządzącego ugrupowania. Wówczas to potrzebne są dialog i poszerzona debata publiczna, poprzedzona dobrą diagnozą wyodrębniającą możliwie wszystkich interesariuszy danego problemu. Oprócz uwidoczniionych w dyskursie publicznym głośnych reprezentantów



poszczególnych grup interesu organizator procesu powinien zadbać o to, by znaleźli się w nim również ci „milczący”, do których dotarcie jest niekiedy bardzo trudne. Wartością dodaną tak poprowadzonego procesu jest objęcie go demokratyczną kontrolą przez wszystkie strony biorące udział w debacie.

Powstają więc pytania zasadnicze: jaki status mają postulaty poszczególnych ruchów miejskich i grup obywatelskich, jak nimi zarządzać i jak wprowadzać je do procesu politycznego i administracyjnego? Mechanizmem lepszym niż ten stosowany dotychczas przez władze (który polega na kontaktowaniu się z władzą „głośnych” reprezentantów grup czy ruchów miejskich, posiadających już ukształtowaną wizję polityki miejskiej w określonych obszarach) jest umożliwienie debaty pomiędzy różnymi grupami i ich reprezentacjami, tak by mogły one poznać swoje punkty widzenia, przedyskutować je, a także, co ważniejsze, wypracować konsens. Wówczas administracji samorządowej łatwiej będzie uzyskać demokratyczną legitymację pozwalającą na wdrożenie wypracowanego rozwiązania i zmniejszyć potencjalne konflikty, jakie mogą się pojawić, gdy decyzje podejmuje się w oparciu o niepełną reprezentację uczestników dialogu. Jeszcze lepiej, jeśli podczas takich debat partnerzy społeczni mogą korzystać z wiedzy ekspertów w danym temacie. Nie kto inny jak właśnie administracja samorządowa powinna być zainteresowana prowadzeniem takich debat, oczywiście z powyższym zastrzeżeniem dotyczącym dbałości o zapewnienie im właściwej reprezentacji obywatelskiej. Szerzej na temat doboru reprezentacji w konsultacjach społecznych piszemy w niedawno wydanej przez Polskie Towarzystwo Socjologiczne publikacji, która powstała po doświadczeniach wdrażania mechanizmów dialogu obywatelskiego w dzielnicy Ochota².

Co jest potrzebne do uruchomienia mechanizmów dialogu obywatelskiego i deliberacji w polityce miejskiej? Przede wszystkim konieczne są właściwe regulacje prawne zarówno na poziomie poszczególnych ustaw, jak i uchwał miejskich, które w sposób bardziej szczegółowy precyzują formy i tryby prowadzonego dialogu. Urzędnicy nie będą stosowali pracochłonnych narzędzi komunikacyjnych, jeśli nie będzie ich do tego obligowało prawo. Tymczasem nasze prawodawstwo tego nie czyni. Wciąż brakuje uchwał miejskich na temat konsultacji społecznych (w Warszawie nadal trwają prace nad opracowaniem takowej). Przykładowo we wzorcowym pod względem komunikacji z mieszkańcami fińskim mieście Tampere urzędnicy zobowiązani są do spotykania się z mieszkańcami wielokrotnie przy przygotowywaniu planów zagospodarowania przestrzennego miasta, również na etapie wstępnych prac planistycznych³. W Polsce obligatoryjne są tylko dyskusje po sporządzeniu już gotowego planu. Nic więc dziwnego, że w Tampere temperatura spotkań z mieszkańcami na ten temat jest znacznie niższa niż w Polsce, za to poziom zaufania do władz znacznie wyższy.

Jednak same rozwiązania prawne nie wystarczają do wdrożenia dobrej praktyki deliberacyjnej. Potrzebne są rozległe działania edukacyjne prowadzone wśród urzędników samorządowych, wskazujące przede wszystkim na korzyści, jakie niesie ze sobą dobra komunikacja z mieszkańcami. Zaakcentowania wymagają głównie kwestie wzrostu zaufania do władz lokalnych, oszczędności kosztów i zmniejszenia napięć społecznych.

I na koniec: partnerski udział w tworzeniu polityki miejskiej wymaga także pewnych kompetencji ze strony obywatela, choćby takiej

² Agata Gójska, Paweł Kuczyński, Barbara Lewenstein, Iwona Pogoda, Ewa Zielińska, *Konsultacje społeczne w przestrzeni wielkomiejskiej. Ochocki model dialogu obywatelskiego*, Warszawa 2012, <http://www.pts.org.pl/omdo/2012/06/przewodnik-omdo-konsultacje-spoeczne-w-przestrzeni-wielkomiejskiej/>.

³ Por. Sylwia Borkowska, *Partycypacja obywatelska w Finlandii na przykładzie miasta Tampere*, nieopublikowana praca licencjacka napisana pod kierunkiem Joanny Itrich-Drabarek, Warszawa 2012.

podstawowej, wyniesionej z lekcji WOS-u, wiedzy o tym, jakie są zadania poszczególnych szczebli samorządu miejskiego, jak korzystać z dopuszczonych prawem możliwości zgłaszania postulatów obywatelskich, a także do jakiego urzędu zgłosić problem dotyczący np. porządku w przestrzeni publicznej? Pierwszym objawem obywatelskiego niezadowolenia nie musi być przecież zawsze protest.



Radykalizacja demokratycznych miast

W dyskusji o tym, co obywatele czynią dla demokracji lub z demokracją, ważne jest podwójne spojrzenie. Z jednej strony: upodmiotowienia, realizacji projektów ideologicznych czy też pragmatycznych interesów. Z drugiej zaś: wewnętrznych sporów, napięć czy konfliktów. Wszystkie te procesy nie dzieją się też w próżni czy wyłącznie w **głowach** obywateli, ale w konkretnej przestrzeni życiowej – w **mieście**. Warto odnotować, że według najnowszych prognoz ONZ w roku 2030 miasta na całym świecie mają pomieścić ponad 60% ogółu populacji.

Obserwując ruchy protestu w przestrzeni miejskiej, które często dają początek ruchom społecznym, odnosi się niekiedy wrażenie, że przynajmniej część z nich może stanowić zagrożenie dla demokracji czy pokoju społecznego. Są to przykłady ruchów, które francuski socjolog Michel Wieviorka nazywa „antyruchami społecznymi”. Ruchy te niejednokrotnie przybierają charakter destruktywny, np. właściwy faszyzmowi, radykalnym formom nacjonalizmu czy totalitarnego komunizmu, rasizmu, fundamentalizmu religijnego, i mogą nawoływać do przemocy, a momentami wręcz terroru. Dobitym przykładem tego, w jaki sposób ruchy miejskie mogą stawać się zagrożeniem dla porządku publicznego, jest już rytualna konfrontacja ruchu ultranacjonalistycznego z antyrasistowskim podczas obchodów Narodowego Święta Niepodległości w naszej stolicy.

Przy tej okazji chcę podkreślić, że te ruchy protestu, które zmierzają w kierunku ruchów społecznych, nie podważają systemu demokratycznego. Wyróżnia je pozytywny stosunek do demokracji, co nie oznacza, że zawsze mają łagodny, pokojowy charakter. Cała trudność w przygotowaniu użytecznej publicznie analizy socjologicznej polega na tym, że granica między antyruchem a ruchem społecznym jest niestety cienka. Jednak przybierając różne formy i sięgając po różne metody działania, ruchy społeczne podejmują własną walkę w ramach demokracji lub na jej rzecz. To wydaje się odróżniać ruchy społeczne od całej gamy gwałtownych konfliktów, którym nie przypisujemy charakteru ruchów społecznych, bowiem rzucają wyzwanie demokracji, nie respektują jej zasad, wreszcie: chcą system demokratyczny zastąpić innym, „lepszym”.

Sięgając po wyniki prowadzonych przeze mnie międzynarodowych badań porównawczych, których przedmiotem były ruchy i zamieszki miejskie w odmiennych częściach Europy: we Francji, w Polsce i w zachodniej części Rosji, zebrałem materiał empiryczny, który pozwala bronić paradoksalnej na pierwszy rzut oka tezy, że nawet momentami skrajne, uchodzące za „niebezpieczne” ruchy protestu stanowią składową demokracji. Na uwagę zasługuje jeden z fundamentalnych rezultatów badania, a mianowicie fakt, iż w każdym narodowym kontekście zaistniała porównywalna sytuacja. Ruchy miejskie, a nawet grupowe akty przemocy w formie zamieszek, stanowiły „test” dla lokalnych więzi społecznych, gdyż generowały liczne reakcje w formie działań mediacyjnych, animowanych na bazie kooperacji administracji (niższego i wyższego szczebla) ze środowiskiem stowarzyszeń lub po prostu zmobilizowanych mieszkańców.

Przyglądając się z bliska różnym przejawom ruchów miejskich, przekonałem się, że demokracja w **mieście** wręcz nie może bez nich funkcjonować. Nawet gwałtowne demonstracje lub zamieszki, które mają swoje przyczyny w dysfunkcji systemu społeczno-ekonomicznego czy

politycznego i przede wszystkim wywołują konstruktywne działania zaafierowanych obywateli/mieszkańców, stają się dowodem na tzw. pracę lokalnego społeczeństwa nad samym sobą, jak zwykł mawiać francuski socjolog Alain Touraine. Jeżeli dochodzi do protestów, demonstracji czy nawet zamieszek, to znaczy, że w społeczeństwie istnieją gorące konflikty, które wymagają i domagają się odpowiedniej współpracy rządzących oraz obywateli/mieszkańców, aby wspólnie wypracować rozwiązanie palącej kwestii: czy to społeczno-ekonomicznej, czy politycznej lub kulturowej. Na tym właśnie polega idea postrzegająca ruchy miejskie jako „test” dla społeczeństwa. Jeżeli nie dojdzie do załagodzenia konfliktu albo nie uda się nim zarządzić, a jedyną formą reakcji rządzących będzie np. użycie represyjnych środków, doprowadzi to do radykalizacji konfliktu i koprodukcji przemocy.

Aby przedstawić sprawę jaśniej: w takim przypadku fundamentalną dla mnie ideą staje się przeciwieństwo konfliktu i przemocy. Jestem przeciwko przemocy, ale za konfliktem, który odgrywa swoją pozytywną rolę, jak mawiał Georg Simmel. Konflikt – to relacja stron społecznego sporu, które nawet gwałtownie, ale ścierają się wzajemnie, uznając siebie za partnerów dialogu, mimo że znajdują się po przeciwnych stronach barykady. W takiej sytuacji możliwe są konsens i ostateczne znalezienie rozwiązania konfliktogennej sytuacji. Przemoc – to zerwanie relacji, to walka między przeciwnikami czy wręcz wrogami, gdzie nie ma miejsca na dialog między partnerami. W tragicznie skrajnych sytuacjach bywa też tak, że pojawia się chęć fizycznego skrzywdzenia albo unicestwienia czy wymazania przeciwnika/wroga.

Posłużmy się konkretnymi przykładami: za podstawowy powód współczesnych mobilizacji miejskich, który stanowi jednocześnie główne zagrożenie dla demokracji, uznaję negatywne zjawisko rozziwu między nie tylko instytucjami publicznymi, ale też stowarzyszeniami a dużą częścią młodzieży. W trzech analizowanych społeczeństwach zaobserwowałem następujące zjawiska społeczne:

- 1) panujące wśród młodzieży poczucie niewielkiej reprezentacji politycznej lub jej zupełnego braku, przy jednoczesnym silnym niezadowoleniu młodych ludzi ze sposobu sprawowania władzy przez wybranych reprezentantów społeczeństwa;
- 2) brak zaangażowania młodzieży w oficjalne inicjatywy społeczno-polityczne;
- 3) brak udziału albo nieliczny udział młodzieży w głosowaniach wyborczych na poziomie lokalnym i krajowym, co jest skutkiem procesu wyodrębniania się tzw. „klasy politycznej”, nierzadko z arogancją odnoszącej się do współczesnego pokolenia młodych ludzi.

W takiej sytuacji wydaje się, że głównym ryzykiem nie jest obecnie możliwość wchłonięcia ruchu społecznego przez partie polityczne, jak miało to miejsce w przypadku ruchów robotniczych w reżimach komunistycznych, lecz wyraźne oddzielenie ruchów społecznych od decydentów społeczno-ekonomicznych i politycznych. Warto zaznaczyć, że w tym momencie ruchy społeczne mogą łatwo być definiowane w przestrzeni publicznej w dychotomiczny sposób jako ruchy pro- lub antypaństwowe, radykalne i „szantażujące” reprezentantów porządku publicznego, co obserwujemy tak wyraźnie przez ostatnich 10 lat zarówno w Rosji, jak i we Francji.

Z taką sytuacją mieliśmy do czynienia ostatnio również w Polsce przy okazji masowych protestów STOP ACTA, które ogarnęły swoim za-



debaty»

sięgiem wiele polskich miast. Zbadane przez Zespół Analizy Ruchów Społecznych mobilizacje pokazały, że brak szerszych konsultacji społecznych oraz ukrywanie przed społeczeństwem poczynań władzy państwowej mogą prowadzić do nieformalnych i niezinstytucjonalizowanych zbiorowych protestów miejskich. Znamienne jest, że przedstawiciele porządku społeczno-politycznego w Polsce zreflektowali się, przyznając, że konsultacje nie były prawidłowo przeprowadzone. Ratyfikacja ACTA została wstrzymana i wydaje się, że opisywane przez mnie zjawisko roziewu będzie brane pod uwagę przy kolejnych poczynaniach urzędników państwowych, w myśl prawidłowego zarządzania sytuacjami konfliktogennymi.

Agata Diduszko-Zyglewska

(ur. 1975), aktywistka, dziennikarka, członkini Inicjatywy Warszawa 2020 oraz ruchu Warszawscy Obywatele Kultury. Członkini prezydium Komisji Dialogu Społecznego ds. Kultury. Prezeska Stowarzyszenia Pasaż Antropologiczny. W 2011 roku sekretarz Zespołu Konsultacyjnego ds. Programu Rozwoju Kultury działającego przy miejskim Biurze Kultury. Współautorka opracowania *Miasto kultury i obywateli. Program rozwoju kultury w Warszawie do roku 2020*. Współpracuje m.in. z dwutygodnik.com, opcit.pl, ngo.pl.

Joanna Erbel

(ur. 1984), socjolożka, aktywistka, publicystka i fotografka. Członkini „Krytyki Politycznej”, współzałożycielka Stowarzyszenia Duopolis. Redaktorka magazynu „Miasta”. Członkini Zarządu Koordynacyjnego Kongresu Ruchów Miejskich. Kuratorka Nowych Sytuacji 2011. Zajmuje się badaniem i dokumentowaniem ruchów społecznych. Współpracuje z ruchami lokatorskimi, zajmuje się polityką mieszkaniową. Przygotowuje doktorat o przemianach w przestrzeni miast postsocjalistycznych.

Łukasz Jurczyszyn

(ur. 1980), socjolog, dr. Współzałożyciel Zespołu Analizy Ruchów Społecznych. Adiunkt na Wydziale Socjologii Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku. Współpracuje z Collegium Civitas w Warszawie. Członek Centrum Analizy i Interwencji Socjologicznych i Centrum Badań Wschodnich w Paryżu. Zajmuje się badaniem współczesnych konfliktów i ruchów społecznych, przede wszystkim rasizmu i nacjonalizmu. Kieruje badaniem ewaluacyjnym programu Respect Diversity prowadzonego przez UEFA w ramach EURO 2012 w Polsce i na Ukrainie.

Barbara Lewenstein

(ur. 1958), socjolożka, dr. Wykładowca w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW i członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Zajmuje się problematyką demokracji lokalnej i partycypacji. Ostatnio w ramach Zespołu ds. Konsultacji Społecznych PTS kierowała projektem wdrażania mechanizmów dialogu obywatelskiego w warszawskiej dzielnicy Ochota (Ochocki Model Dialogu Obywatelskiego).

Wojciech Przybylski

(ur. 1980), historyk idei. Redaktor naczelny „Res Publici Nowej” i „The Visegard Review”. Pracownik Katedry im. Erazma z Rotterdamu UW, koordynator Debat Tischnerowskich. Członek grupy ds. mediów Forum Społeczeństwa Obywatelskiego Partnerstwa Wschodniego. Inicjator programu „DNA Miasta”. Publikował m.in. w „Eurozine”, „Polska. The Times”, „Res Publice Nowej”, „Social Europe Journal”.

